Łukasz Maślanka: My, poniemieccy

Fakt, iż w chwili obecnej można spotkać wyspy dobrobytu, takie jak Wrocław, Szczecin czy Gdańsk, jest jedynie powolnym powrotem do normalności, zważywszy na historię tych z dawna bogatych miast kupieckich

Fakt, iż w chwili obecnej można spotkać wyspy dobrobytu, takie jak Wrocław, Szczecin czy Gdańsk, jest jedynie powolnym powrotem do normalności, zważywszy na historię tych z dawna bogatych miast kupieckich

Pojawiają się coraz to nowe głosy w toczącej się od dawna dyskusji na temat tożsamości Polaków zamieszkałych po 1945 roku na ziemiach zabranych Niemcom. Wśród nich warto wspomnieć o bliżej niesprecyzowanej idei budowy Muzeum Ziem Zachodnich, mającym, jak rozumiem, upamiętniać dokonania polskiej cywilizacji na tych terenach po 1945 r., a także o opinii prof. Zdzisława Macha, który stwierdził w wywiadzie udzielonym jakiś czas temu Gazecie Wyborczej, że deportacje rdzennych mieszkańców Śląska, zachodniej Wielkopolski, Pomorza Zachodniego i Prus do Niemiec Zachodnich były błędem społecznym. Błąd ów miał zaowocować złym zagospodarowaniem tychże terenów przez przesiedleńców z, zabranych z kolei nam, kresów wschodnich.

Powołuję się tutaj w skrócie na te dwa poglądy w celu podjęcia z nimi polemiki. Opinia prof. Macha wydaje mi się czczym historycznym „gdybaniem". Niemcy zostali z Polski wysiedleni na rozkaz Sowietów. Nie do końca zgadzam się z tymi, którzy twierdzą, że wysiedlenie było i tak konieczne ze względu na naturalny antagonizm polsko-niemiecki, spowodowany opętaniem dużej części niemieckiego społeczeństwa przez idee nacjonalistyczne i przede wszystkim przez zbrodnie, których Niemcy dopuścili się na Polakach. Dowodem na to jest fakt, iż pewna ilość ludności niemieckiej przetrwała w opolskiej części Górnego Śląska i zdołała nawet przechować jakąś część swojej tożsamości. Ważnym świadectwem wydają się tutaj wspomnienia abp. Alfonsa Nossola, który zaraz po zakończeniu wojny przywiązywał do krzesła swojego młodszego braciszka, aby nie wychodził na podwórze i nie zdradził się (przed milicją, a nie przed sąsiadami) swoją, silnie nacechowaną przez język niemiecki, „godką". W innych warunkach ustrojowych i z inną władzą, taka koegzystencja byłaby możliwa, choć trudna. Ale do deportacji doszło i nie widzę wielkiego sensu w roztrząsaniu tego tematu.

Pomysł budowania Muzeum Ziem Zachodnich wzbudza we mnie mieszane uczucia. Polska niestety nie odniosła na tych terenach wielkiego sukcesu cywilizacyjnego – a wręcz przeciwnie – bezmyślność, zła wola, chory centralizm (pokutujący zresztą do dziś) i utopijna wizja gospodarczo-społeczna komunistów doprowadziły do gwałtownego ich regresu w stosunku do stanu sprzed 1939 r. Perypetie przesiedlonej ludności zasługują na upamiętnienie, ale raczej martyrologiczne, a chciałbym, abyśmy przestali budować na martyrologii 90% naszej tożsamości.

Fakt, iż w chwili obecnej można spotkać wyspy dobrobytu, takie jak Wrocław, Szczecin czy Gdańsk, jest jedynie powolnym powrotem do normalności, zważywszy na historię tych z dawna bogatych miast kupieckich. Nowa prosperity stanowi także pośredni dowód na to, że

pozytywna asymilacja obcej ludności w nowych warunkach jest możliwa wtedy, gdy odnajdzie się pewien złoty kompromis pomiędzy niepolską historią zasiedlonych ziem a własnymi tradycjami nowo-przybyłej ludzkości. Cenną wskazówką wydaje się tutaj idea „patriotyzmu pejzażu" wyrażona przez Józefa Mackiewicza w „Lewej Wolnej". Mackiewicz, znany m.in. z protestów wobec barbarzyńskiej polityki władz sanacyjnych wobec prawosławnej ludności Kresów, która objawiła się chociażby zburzeniem 127 cerkwi na Chełmszczyźnie w r. 1938, pisał:

„Narodowi patrioci na przykład, dla nich największe szczęście ludzkości, żeby jak najwięcej ludzi mówiło koniecznie tym samym językiem, ale, broń Boże, nie innym. Albo: gdzie na rynku stał kościół, postawię cerkiew. Albo: gdzie stała cerkiew postawię przekoniecznie kościół. A dla mnie - mówi - czy włoski barok, czy bizantyjska kopuła, i minaret, i synagoga tak samo należą do pejzażu jak jezioro, czy rzeka, czy rynek, przy którym stoją. (...) A jak ty wszystkim wronom każesz krakać pod batutą i liście na drzewach przykroisz w jeden wzór, to co zostanie z pejzażu?"

Porównywanie ze sobą dwóch kultur zawsze prowadzi do uproszczonych wniosków, a czasami ociera się wręcz o rasizm. Mimo wszystko odważę się stwierdzić, że cywilizacja Polski Złotego Wieku miała pewną istotną wyższość nad innymi rówieśniczkami – łatwiej asymilowała obce elementy kulturowe, nie prowadząc jednocześnie ani do autodestrukcji ani do ich zatracenia. Paweł Jasienica upatrywał źródła tej cechy w indyferentyzmie religijnym Piastów i Jagiellonów. Podoba mi się ten pogląd i przypominam go każdemu, kto utyskuje na

„indyferentyzm” i „amoralność” rządzących Unią Europejską. Tę cechę posiada również np. kultura amerykańska. Oczywiście owa zdolność asymilacji ulegała stopniowej redukcji. Ważnym wydarzeniem było osadzenie na polskim tronie fanatycznie katolickiego odłamu rodu Wazów i wzmocnienie wpływu zakonu jezuickiego na sprawy państwa. Byłoby przecenianiem roli „nadbudowy” w historii twierdzenie, że to właśnie obniżenie zdolności asymilacji doprowadziło do kryzysu i upadku wielonarodową i wielowyznaniową Rzeczpospolitą, ale niewątpliwie miało wpływ na wiele negatywnych zjawisk, przede wszystkim zaś na jedno: choroba wyzyskiwania i ograniczania rozwoju miast (w dużej części niemieckich), konfliktów religijnych, polowań na czarownice opuściła już większość krajów zachodu, kiedy u nas zaczęła objawiać pierwsze swe symptomy.

Otóż podobną zdolność asymilacyjną przejawiała, z przyczyn równie materialnych i równie mało ideowych, niemiecka cywilizacja wolnych miast kupieckich. Jej osłabienie i powolny zanik przypada dopiero na okres po Wiośnie Ludów i miało, dla państwowości niemieckiej, mniej katastrofalne skutki, a to ze względu na jej rozwój w kierunku narodowo-burżuazyjnym, zamiast integrystyczno-ziemiańskim. Ważnym aspektem było także wyrównanie sił katolików i protestantów w procesie jednoczenia kraju, duży pęd asymilacyjny niemieckich Żydów oraz „wola mocy” pruskiej organizacji państwowej.

Z niecierpliwością czekam, aż polskie władze oświatowe docenią wagę edukacji regionalnej w szkołach. W przypadku ziem zachodnich wydaje mi się, że powinna być ona oparta na dwóch filarach. Pierwszy obejmowałby pielęgnowanie tożsamości ludności przybyłej ze Wschodu – w większości przypadków tereny odebrane Niemcom były zasiedlane przez grupy pochodzące z tych samych okolic kresowych, bo przesiedlano całe wioski i miasta – drugi natomiast byłby owym Mackiewiczowskim „patriotyzmem pejzażu” i miałby na celu zaproponowanie uczniom zafascynowania się „nowymi” ziemiami rodzinnymi z ich niemiecką architekturą, historią i tradycjami.

Przypomnijmy, że Gdańsk, Wrocław i wiele innych miast zostało odbudowanych z ruin przez Polaków, a ich zabytkowa tkanka została w dużej mierze odtworzona. Traktowanie tych dwóch elementów nierozłącznie, i z uwzględnieniem specyfiki danej okolicy, pozwoliłoby doprowadzić do wykształcenia się u młodego pokolenia tego typu nowej tożsamości, której początki można obserwować w we wspomnianych wielkich metropoliach. Ta tożsamość nie jest jednak zasługą polityki historycznej państwa polskiego, ale efektem działalności samorządów, organizacji kresowych, lokalnych pasjonatów i… niemieckich fundacji – często podejrzewanych o niecne intencje. Wspólnym ogniwem tej tożsamości byłaby owa „zdolność asymilacyjna" typowa zarówno dla dawnej Rzeczypospolitej, jak i Rzeszy oraz Korony Habsburgów – państw wolnych miast i ruchu kolonizacji wiejskiej. Muzeum Ziem Zachodnich to natomiast pomysł wyodrębnienia polskiej historii z historii niepolskiej. Jest, nowocześniejszą i bardziej wyrafinowaną, wersją propagandy peerelowskiej. Chciałbym, aby przedstawiono mu projekt integralny – w którym, dla przykładu, dowiemy się zarówno o piastowskim rodowodzie Śląska i Pomorza, ale także historii stopniowej i najczęściej dobrowolnej germanizacji książąt tego rodu.

Pewnym bodźcem do napisania powyższego był dla mnie niezbyt ambitny, ale, ze względu na ową inspirację, pouczający program telewizyjny, który zupełnie przypadkiem obejrzałem kilka dni temu w jednej z telewizji komercyjnych. Otóż zadano pytanie pewnej osobie, która w niewielkim miasteczku Zachodniego Pomorza, prowadzi restaurację w prestiżowych zabudowaniach zamkowych, o tradycyjne potrawy regionalne. Proszę sobie wyobrazić, że ta restauratorka nie była w stanie udzielić odpowiedzi na to pytanie, a jej lokal serwował jedynie mrożonki i jedzenie ze słoików. Chciałbym uniknąć tutaj krzywdzących uogólnień, ale ofiarami zagubionej tożsamości tej pani, byli, prócz niej samej, także lokalni konsumenci! Przykład może banalny, ale dotkliwy.

W moim mieście – pod pewnym względem nietypowym, gdyż stanowiło ono, mimo wysokiego odsetka ludności niemieckiej, część II RP – jest nadzieja, iż pewne pozytywne elementy niepolskiej przeszłości zostaną upamiętnione zasymilowane jako własne. Dobrym przykładem może być tu postać Theodora Sixta, ewangelickiego przemysłowca i tajemniczego filantropa, który swoją ulicę w naszym mieście uzyskał już w r. 1900 (przekazał miastu cały swój majątek nieruchomy, zaś oszczędności organizacjom charytatywnym) i odzyskał ją po 1989 roku. Innym zasłużonym bielszczaninem był Karl Korn, architekt i Żyd niemiecki, będący autorem najpiękniejszych inwestycji budowlanych miasta drugiej połowy XIX wieku. W Bielsku ma swoją ulicę od 1998 roku. Co ciekawe, krewni Karla Korna przeżyli wojnę i nadal tu mieszkają. Zwiedzający Górne Przedmieście mogą wciąż podziwiać Studnię Luschkego, nazwaną tak na cześć twórcy miejskich wodociągów. Inspirację dla współczesnych stowarzyszeń stanowi XIX-to wieczna działalność Towarzystwa Upiększania Miast Bielska i Białej (Bielitz-Bialaer Verschönerungsverein), któremu obydwa miasta zawdzięczały zagospodarowanie rekreacyjne terenów leśnych i parkowych – posiadających tę funkcję po dziś dzień. Historia jest warta poznania także dlatego, że uczy nas jak poczuć się na tych ziemiach wreszcie u siebie i co zrobić, aby stały się lepsze.

Te luźne rozważania nad zagubioną tożsamością nie powinny przysłaniać tego, co najważniejsze. Dopóki państwo polskie nie będzie w stanie zapewnić nowoczesnych powiązań komunikacyjnych na całym swym obszarze, dopóki niedoinwestowane, zdegradowane obszary nie zaczną być przedmiotem przemyślanych inwestycji mających na celu wykształcenie samorządnego i solidarnego społeczeństwa obywatelskiego, dopóki ważni inwestorzy zagraniczni będą ciągle rozwijać swoje interesy w tych samych miastach, spoza których nie widać „gorszej" Polski, dopóty problem ziem zachodnich będzie istniał i stanowił potencjalne zagrożenie, ponieważ zamieszkującej je ludności nie będzie opłacało się do niej przywiązać. Jak zwykle największym zagrożeniem jesteśmy sami dla siebie.